

W DRODZE

PISMO POLITYCZNE I LITERACKIE

Nr. 1 (63)

Jerozolima, 16 stycznia 1946

Rok IV

Prof. ADAM PRAGIER,
Minister Informacji i Dokumentacji

„ŻYWA CZĘŚĆ POLSKI”

ZACZNĘ od stwierdzenia faktu, że Polacy na obczyźnie stali się „emigracją” dopiero w ostatnim roku wojny. Podstawę formalną tego naszego „stanu emigracyjnego” stworzyły dwie konferencje: najpierw tzw. krymska, a później druga — moskiewska.

Przed tymi konferencjami określenia „emigracja polska” używali tylko okupanci.

Istotnie: nie byliśmy i nie czuliśmy się „emigrantami”. Druga wojna światowa była w rzeczy samej wojną totalną. Nie tylko zatarła podział obszaru objętego działaniami wojennymi na „fronty”, „etapy” i „tyły”, ale zatarła także podział obszarów strategicznych według ich przynależności państwowej. Cała Europa, a później cały glob ziemski stał się jednym teatrem wojennym, największym w dziejach tego globu. Historycy drugiej wojny światowej będą mieli nielada trudności z wyodrębnianiem oddzielnych założeń strategicznych, z analizą poszczególnych faz tej wojny. Operacje w północnej Afryce były związane z działaniami na Oceanie Lodowatym, a bitwy morskie na Atlantyku stanowiły nierozrwalną całość strategiczną z frontem sowiecko-niemieckim. Działania lokalne były wypadkowymi innymi, czasem bardzo odległymi działaniami, a wszystkie razem i każde z osobna można zrozumieć tylko na tle całości. Zasadniczy cel wojny pozostawał bowiem przez cały czas jej trwania niezmienny. Było nim rozbicie trójkąta Berlin-Tokio-Rzym. I ten właśnie wspólny cel wojny narzucił sojusznikom charakter strategii, podobnie jak totalne formy napaści, zapoczątkowane przez Niemcy, narzuciły sojusznikom także metody obrony.

Wojska polskie, walczące pod Narwikiem, Tobrukiem, Falaise czy Monte Cassino, bez względu na to ile kilometrów dzieliło je od Warszawy, realizowały polskie cele wojenne równie bezpośrednio, jak wojska polskie w bitwie pod Kutnem, jak Armia Krajowa w Warszawie, w lasach wileńskich czy w Górach Świętokrzyskich. Polskie okręty wojenne uzyskiwały dla siebie właściwy, bezpośredni Polskę obchodzący, teatr wojenny dopiero po wyjściu z Bałtyku. Lotnictwo polskie w bitwie o Wielką Brytanię przeprowadzało operacje bezpośrednio obchodzące Polskę i wynikające z polskiej strategii.

Cechą swoistą emigracji jest to, że oderwana od własnego kraju nie może działać dla swojej ojczyzny bezpośrednio, szukać tedy musi dróg pośrednich, poprzez oparcie się o obce ośrodki polityczne. Ani rząd polski, przebywający na obczyźnie, ani Polskie Siły Zbrojne, walczące poza granicami Rzeczypospolitej nie były emigracją, gdyż działania ich wynikały z ich własnej suwerennej decyzji i z polskiego rozumienia strategii. Tak się rzecz miała nie tylko pod względem prawnym. Podobnie również układała się ona w uczuciach narodu polskiego, w jego stosunku do rządu na obczyźnie, w jego przywiązaniu do wojska walczącego o tysiące kilometrów czy mil morskich od kraju.

Żaden z naszych sojuszników, żaden z prawdziwie przyjaznych nam narodów, nie mówiąc już o nas samych, nie określał skupień Polaków na obczyźnie jako „emigracji”. Rozumiano powszechnie, że skupienia te są integralną i jedynie wolną częścią walczącego narodu polskiego.

— Sukcesy muzyków polskich. W bieżącym sezonie nowojorskiej orkiestry symfonicznej wystąpią następujący polscy soliści: Artur Rubinstein, Wanda Landowska, Bronisław Huberman i Witold Małcużyński.

Na koncercie pod dyktando Artura Rodzińskiego po raz pierwszy będzie wykonany nowy utwór Jerzego Fitelberga „Nokturn”. Jerzy Fitelberg jest synem zasłużonego dyrygenta Filharmonii Warszawskiej, Grzegorza Fitelberga.

W Chicago inauguracyjny koncert Women's Symphony Orchestra prowadził Jerzy Bojanowski. Jako solista wystąpił znany baryton polski, przed wojną artysta Opery Warszawskiej, Jerzy Czaplicki. Śpiewał on m. in. arie ze „Straszego Dworu” Moniuszki.

Emigracja jako czynnik polityki polskiej

Tak było do czasu owych konferencji międzynarodowych, w których odstąpiono od podstawowych zasad i celów polityczno-strategicznego wojny. Wielkie mocarstwa uznały w owym czasie, że bezsporne prawo do niepodległości posiadają tylko one same, że natomiast inne, mniejsze państwa i narody, bez

względu na swój wysiłek wojenny, prawa tego mogą być w praktyce pozbawione, względnie, że to ich prawo może być uzależnione od interesów obcego państwa.

Takie pojmowanie celów wojny przekreśliło z natury rzeczy samo jej rdzenne założenie, którym było zniszczenie faszyzmu, a

W numerze:

Stanisław Witucki: Na równi pochyłej. — Józefa Radzimińska: Obca wolność. — Zygmunt Nowakowski: Czeigodne dziecko. — Depesze prem. Arciszewskiego i min. Pragiera do Polaków na Srodk. Wschodzie. — Henryk Tennenbaum: Ekonomia i humanistyka. — Wacław Grubiński: O Karolu Irzykowskim. — Gustaw Herling-Grudziński: „Jeżeli dwóch mówi to samo...” — Kazimierz Wierzyński: Wiersze: Do Żydów, Smutku nasz pusty..., Przypowieść, Strofa o człowieku. — Beata Obertyńska: Śpiewa Panna Maria synowi... — Tadeusz Wittlin: Warta. — Janusz Jasieńczyk: „Uwaga Marek — Bolo wola...” — Tymon Terlecki: „In memoriam”. — Kazimierz Ryziński: Czy „niepotrzebni ludzie”? — Lista zmarłych pisarzy polskich. — „Kronika kulturalna.

KONSTANTY I. GAŁCZYŃSKI

PIEŚŃ O FLADZE

Jedna była... gdzie? Pod Tobrukiem,
druga była... hej! pod Narvikiem,
trzecia była pod Monte Cassino,

a każda jak zorza szalona
biało-czerwona, białoczerwona!

czerwona jak pułk wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Zebrały się noca flagi,
flaga fladze dodaje odwagi:
— No, noo, nie bądź taka zmartwiona:

Nie pomogą i moce piekła,
jam ciebie, tyś mnie urzekła,
nie zmogą cię bombą ni złotem
i na zawsze zachowasz swą cnotę

i nigdy nie będziesz biała
i nigdy nie będziesz czerwona,
zostaniesz białoczerwona
jak wielka zorza szalona,

czerwona jak pułk wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona.

Tak mówiły do siebie flagi
i raz po raz strzelił karabin,

zrobił dziurę w czerwieni i w bieli,
lecz wołały flagi: — Nie płaczcie,
choćby jeden strząpek na maszcie,
nikt się zmienić barw nie ośmieli!

zostaniemy białoczerwone
flagi święte, flagi szalone!

Spod Tobruku i spod Murmańska,
niech nas pędzi dola cygańska,

zostaniemy białoczerwone,
nie spoczniemy białoczerwone,
czerwone jak pułk wina,
białe jak śnieżna lawina,
biało czerwone.

O północy, przy zielonych stolikach
modliły się diabły do cyfr,
były szarfy, orderzy, muzyka
i stukot tajny szysfr.

Diabły w swoim sercu głupiem, bo niedobrem
rozwiązwały białoczerwony problem.

Łkała flaga: — Czyżem powinna
zginąć, bo jestem inna?

że nie taka... dyplomatyczna,
że — tragiczna, że — nostalgiczna,
ta od mgieł i od tkliwej rozpacz
i od serca, które nic nie znaczy,

flaga jak ballada szopenowska,
co ją tkła sama Matka Boska.

Ale wtedy przyszła dziewczyna
i uniosła flagę wysoko, — — —

hej! wysoko! ku samym obłokom!
jeszcze wyżej! gdzie się wszystko zapomina,
jeszcze wyżej, gdzie jest tylko sława
i Warszawa, moja Warszawa!

Warszawa jak piosenka natchniona,
Warszawa białoczerwona,

czerwona jak pułk wina,
biała jak śnieżna lawina,
biało-czerwona,

biało-czerwona,
ohej! białoczerwona.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

POWRÓT

Ucz się, żołnierzu, prawdy, ucz się okrucieństwa.
Na nic mury Warszawy, gruz twojego męstwa.

Za wszystkie boje, chwały, legendy o czynach
Jedno miejsce masz wolne, cmentarz w Apeninach.

Grób we Francji czy w Anglii czy może gdzie jeszcze,
Gorzką ziemię i słuchy pod ziemią złowiesz.

Wszystko jedno czy swoją czy też ziemię cudzą,
Już cię spod niej na powrót zwycięski nie zbudzą.

Na Nowy Świat, Krakowskie, białą pod stolicą
Obcy cię nie dopuszczą, swoi nie przemycą.

Zostaniesz tu, gdzie wolność, w tym rowie, przy miedzy,
Przyjdzie wiatr, będzie szumił, przysiądą koledzy.

Dogadacie się jeszcze, pogwarzyście sobie
Jak jest na świecie w słońcu i jak w ciemnym grobie.

Co szepczą tam w ruinach, co śni się daleko
Za Bugiem i za Sanem i za siódmą rzeką.

Kto uszedł w ciemne lasy a kto rozstrzelany,
Co w gruzach słychać uchem przywartym do ściany.

He tam jest rozpacz, ile tam jest męstwa:
Ucz się, żołnierzu, prawdy, ucz się okrucieństwa.

wraz z nim panowania przemocy w stosunkach między ludźmi i między narodami. Tę decyzję mocarstw wywołała chęć „pokoju za wszelką cenę”, ich ustepliwość wobec zabórcości Rosji.

Po usunięciu okupacji niemieckiej wiele narodów znalazło się pod nową okupacją. Ich niewola została teraz niejako usankcjonowana przez zawarte ponad ich głowami umowy między mocarstwami. Opór przeciwko tym porozumieniom grożącym bytowi całej Europy środkowo-wschodniej potępił się teraz jako „zagrożający powszechnemu pokojowi”. Umowy te nie mogły wszakże stać się gwarancją trwałego pokoju. Wprost przeciwnie, wzmagają one jeszcze apetyty i ambicje. Istnieją bowiem niepisane, lecz tym nie mniej nieodparte prawo dziejowe, że każdy pakt, zawarty z pogwałceniem prawa i sprawiedliwości, staje się źródłem gwałtów i agresji.

Postanowienia mocarstw dotknęły najbardziej Polskę. Nie tylko dlatego, że Polska jest największym spośród państw uwolnionych od hitlerizmu, a ponownie okupowanych, lecz także dlatego, że jej wkład wojenny był, stosunkowo do jej możliwości, największy, a jej straty najbardziej dotkliwe. Polska otrzymała formalnie „własny” rząd, działający na terenie kraju, „własne” wojsko organizowane już na ziemi polskiej, oraz „przedstawicieli” tego „rządu” i tego „wojska” poza granicami Polski. Masy polskie, znajdujące się na obczyźnie otrzymały „prawo powrotu” do kraju. Przez to samo Polacy na obczyźnie, którzy nie mają wątpliwości jaka jest rzeczywistość wartości tych wszystkich „znak „suwerenności” i tych wszystkich „praw”, sprowadzeni zostali do pozycji „emigrantów politycznych”.

Tego rodzaju procedura może chwilowo zaspokoić sumienia obcych polityków, może przynieść doraźne ułatwienia w polityce międzynarodowej, nie może wszakże żadną miarą załatwić sprawy polskiej. Dominującym faktem jest to, że Polska nie odzyskała po wojnie niepodległości, że nie posiada praw suwerennych, nie ma niekrepowanych możliwości własnego rozwoju gospodarczego, społecznego i duchowego. Polska nie jest rządzona przez własną, swobodnie wybraną władzę ustawodawczą i nie wskazuje, by miało się to zmienić w obecnych warunkach. Polska jest rządzona przez mandatariuszów obcego państwa. Naród polski nie ma we własnym kraju możliwości jawnego protestu, ani tym więcej — obrony przeciwko takiemu pogwałceniu jego praw. Jego milcząca postawa wobec obcej okupacji nie jest przeto dowodem zgody na ten stan rzeczy, lecz wynikiem jego niemocy wobec przemożnej siły.

Rzeczywistość polska w okupowanym kraju automatycznie określa rolę tych Polaków, którzy pozostają na obczyźnie i których obcy zapewne zwać będą „emigrantami”. Polacy na obczyźnie będą stanowili siłą rzeczy jedyny samostanny element polityczny narodu polskiego, który będzie mógł sprzeciwiać się włączeniu Polski i jej interesów w orbitę jednego mocarstwa, oraz wykreśleniu jej jako przedmiotu z polityki międzynarodowej. Sprawa to, że wolni Polacy na obczyźnie nie mogą uznawać się za „emigrację”, że muszą nadal poczytywać się za żywą część Polski, za wyrazielię jej istotnych pragnień i woli, za ramię uwziętego narodu, wysunięte poza kraty jego kaźni.

— Pomnik Księcia Józefa Poniatowskiego zamierzają ofiarować Warszawie — Kopenhaga. — Przed wojną pomnik ten, dzieło wielkiego rzeźbiarza duńskiego, Thorvaldsena, stał w Warszawie na Placu Marsz. Piłsudskiego przed kolumnadą dawnego Pałacu Saskiego, ostatnio siedziby Sztabu Generalnego. Zniszczyli go podczas wojny Niemcy, idąc niejako śladem Rosjan, którzy w okresie zabórów wywieźli pomnik do Homla.

W muzeum Thorvaldsena w Kopenhadze znajduje się gipsowy odlew pomnika w naturalnej wielkości. Obecnie duńscy przyjaciele Polski proponują wykonanie odlewu w brzozi i ofiarowanie go polskiej stolicy, która stała się symbolem walki narodów o wolność.



Cz 4468/1846

STANISŁAW WILUCKI

NA RÓWNI POCHYLEJ

MINIONY rok 1945 stanowi okres, w którym wyraźnie wystąpiły nieuchronne konsekwencje, jakie musiał wywołać brak politycznej koncepcji pokoju w zetknięciu z wyraźnie wytkniętymi planami polityki sowieckiej.

Na przełomie wojny i pokoju polityka mocarstw zachodnich bezwładnie trzymała się zasady, którą sobie nie bez trudu wytworzyła dla osiągnięcia naczelnego celu — wygrania wojny z Niemcami. Była to zasada politycznej jednomyślności obozu Sprzymierzonych, a na jej ołtarzu złożono ofiarne wszystkie zastrzeżenia, od dawna istniejące na Zachodzie w stosunku do Rosji, znajdujące swą przyczynę przede wszystkim w polityce Kominternu.

To też, w imię wygrania wojny, dokonywano stopniowo wszystkiego co można, ażeby wybielić Rosję w oczach zachodniej opinii demokratycznej. Poprzez skrzętną propagandę zwalczano uprzedzenia wobec systemu życia i rządzenia w granicach państwa sowieckiego, korzystając zaś z atmosfery wojennej apotezowano armię czerwoną.

Słepie trzymanie się zasady jednomyślności, zrozumiałe jeszcze w warunkach współpracy wojennej, stało się trudne do pojęcia tam, gdzie zaczęły się ważyć losy pokoju. Wówczas też, z chwilą ustania działań wojennych, tym groźniej zarysował się na Zachodzie brak określonej koncepcji świata powojennego. Mglisty obraz międzynarodowej organizacji bezpieczeństwa nie zdołał zastąpić jasnych założeń i wyraźnych celów.

W przeciwieństwie do chaosu zachodniej myśli politycznej Rosja, już od samego początku wojny, posiadała dojrzałą koncepcję. Pierwszym krokiem do jej realizacji był układ sowiecko-niemiecki — wstęp do piątego rozbioru Polski, a jej istotę stanowiło dążenie do urzeczywistnienia planów imperialistycznych Rosji carskiej, złączone z ambicją dokonania rewolucji światowej. Była to koncepcja nie stawiająca sobie granic terytorialnych, uwzględniająca jedynie stopniowe wcielanie zamiarów w życie.

Obojętne było dla Rosji, kto może być czynnikiem pombenczym przy ich realizacji. Gdy udało się wykonać pierwszą fazę planów przez zajęcie, na mocy układu z Ribbentropem, wschodnich terenów Polski, Rosja przybrała postawę wyczekującą, gotowa do wykorzystania dalszych sposobności.

Do obozu Sprzymierzonych wprowadził Rosję napad niemiecki. I podczas, gdy jej nowi aliantzi mieli tylko jeden cel na oku — wygrać wojnę w zgodnej współpracy z Rosją, Sowiety, gdy tylko zaświecila im nadzieja zwycięstwa, przygotowały podstawy dla dalszej budowy swego imperializmu po wojnie.

I oto rok 1945, który jest granicą między wojną i pokojem, przynosi ze sobą fakt historyczny, będący jakby wyrokiem śmierci dla pokoju. To Jałta, która stworzyła zasadę jednomyślności w Radzie Bezpieczeństwa, dyskutowana już wprawdzie w Dumbarton Oaks, ale postawioną ostatecznie przez Wielką Trójkę na początku lutego na Krymie. Szczególną wymowę posiada fakt, że ów wyrok śmierci na pokój zapadł równocześnie z wyrokiem rozbioru Polski, z decyzją pozbawienia jej niepodległości, poprzez stworzenie fikcji „rządu jedności narodowej”, co równało się w praktyce oddaniu kraju w ręce Rosji. Powzięto te postanowienia bez wiedzy legalnego Rządu polskiego.

Rok 1945, nieszczęsny dla Polski, rozpoczął się samozwańczym przemianowaniem się lubelskiego „Komitetu Wyzwolenia Narodowego” na polski „rząd tymczasowy”.

To już nie dawało złudzeń. Polska nie mogła liczyć na perspektywę harmonijnej współpracy pokojowej. I podczas gdy zachodni sygnatariusze Jałty, zamykając oczy na rzeczywistość, nawiązywali jeszcze czechem frazezem do Karty Atlantycznej, rząd polski w Londynie w równocześnie wydanej deklaracji z dn. 13 lutego oświadczył jasno, że Jałta jest pogwałceniem tej Karty.

Tak więc dwa wyroki zapadły jednocześnie: wyrok na Polskę i wyrok na pokój Europy i świata. Polska zdawała sobie sprawę z ich skutków, w chwili gdy mocarstwa ogłaszały światu zasadę przyszłej organizacji Zjednoczonych Narodów, z góry skazując ją na bezsilność przez przyznanie sobie prawa weta.

Jedynym nieklamany zwycięskim tożem Jałty był tylko trzeci wyrok — wyrok na Niemcy. Tak, jak zapowiedziano w Jałcie, zadano decydujący cios potęgę niemieckiej. W drugiej połowie marca następuje wielki odwrót armii niemieckich na froncie zachodnim, w połowie kwietnia — generalna ofensywa we Włoszech, 2 maja — pada Berlin, 6 Niemcy kapitulują wobec aliantów zachodnich, a 7. — koniec wojny w Europie. Następnym aktem sprawiedliwości będzie proces w Norymberdze.

Równocześnie, w końcowej fazie wojny, obejmującej pierwsze półrocze 1945 roku, szala polskiego losu przechyla się coraz niżej. Powstały na początku tego okresu, powołany przez Sowiety „rząd tymczasowy” obejmuje stopniowo władzę na coraz szerszych terenach polskich, zajmowanych przez armię czerwoną. W połowie stycznia Rosjanie zdobywają Warszawę, potem Kraków. Armia Krajowa, wierna do ostatka zadaniu walki z

Niemcami, mimo smutnej pamięci o bezczynności wojsk rosyjskich podczas Powstania Warszawskiego, bije się na niemieckich tyłach i ułatwia postępy armii czerwonej. W nagrodę za bezwzględne współdziałanie z sojusznikami otrzymujemy — wyrok jałtański i obóz lubartowski, w którym uwięziono 6.000 żołnierzy Armii Krajowej.

W końcu lutego następuje zdarzenie, pozostające bez precedensu w stosunkach międzysojuszniczych. Alianci zakomunikowali władzom rosyjskim nazwiska dowódców i ministrów Polski Podziemnej w nadziei doprowadzenia do konferencji porozumiewawczej. Rzekome „zaproszenie” Delegata Rządu na Kraj, trzech ministrów, komendanta głównego Armii Krajowej i przywódców stronnictw politycznych na... rokowania z dowódcą frontu białoruskiego, okazuje się zwykłym podstępem. Jakie były intencje owego zaproszenia, jak strona rosyjska rozumie „rokowania”, mieli możliwość przekonać się naocznie „przywódcy polscy z zagranicy”, którzy przyjąwszy wyrok jałtański pojechali do Moskwy — tragiczne tło odbywającego się równocześnie uzurpatorskiego sądu nad ministrami Polski Niepodległej.

*

25 kwietnia, wśród fałszywego optymizmu, wśród z trudem żągniowanych niebezpieczeństw rozbitcia całego dzieła, nadchodzi zapowiedziana przez Jałtę konferencja w San Francisco.

Nie doczekał jej już prezydent Roosevelt. Wielki głosiciel Czterech Wolności, twórca Karty Atlantycznej, budzieli nadziei ludów na lepszą przyszłość, umiera wkrótce po spotkaniu w Jałcie, po smutnym akcie rezygnacji z zasad, które głosił. Nie może więc już powstrzymać nieuniknionych następstw odejścia od hasła wolności i sprawiedliwości. San Francisco staje się pogrzebem Karty Atlantycznej, której wystawiono pobielony nagrobek z napisem „Karta Zjednoczonych Narodów”. Minęło już jednak to, co je jednocyło — niebezpieczeństwo niemieckie. W przeddzień zwycięstwa nad imperializmem niemieckim rozwija się współzawodnictwo nowych imperializmów. Rosja obstaje przy warunku bezwzględnego weta dla wielkich mocarstw. Naprawdę oponują mniejsze narody pod przewodnictwem Australii. Zwycięża ślepa zasada „jednomyślności” Wielkiej Trójki. San Francisco osiąga pozorny kompromis w nieczym nie naruszający istoty rosyjskiego stanowiska: nie można już wprawdzie przeszkodzić temu, by konflikt zagrażający pokojowi był rozważany na Radzie Bezpieczeństwa, jednakże veto wielkiego mocarstwa, stałego członka Rady, może uniemożliwić wszelką uchwałę i wszelką akcję, wszelką pomoc Zjednoczonych Narodów przeciw napastnikowi. W praktyce zatem każde wielkie mocarstwo lub mniejsze państwo, o ile jest popierane przez jedno z wielkich mocarstw, będzie mogło dokonać agresji bez obawy spotkania się z oporem międzynarodowych sił zbrojnych. Oto jak wygląda podwalina pokoju, nad którego organizacją obraduje w chwili obecnej pierwsza sesja OZN (UNO).

Konferencja w San Francisco trwała równo dwa miesiące. Z jej zakończeniem nastąpiło cofnięcie uznania Rządowi RP. w Londynie. Było to wynikiem samobójczego gestu grupy polityków polskich, która straciwszy wiarę w zwycięstwo słusznej sprawy, przyjęła zasady jałtańskiego dyktatu.

Oto w tych samych dniach, kiedy toczył się proces przywódców Polski Podziemnej, paru Polaków z Londynu wyraża zgodę na udział w „rządzie” lubelskim. Wyrokowi Jałty stało się zadość po 4-ch miesiącach daremnych wysiłków Kerra i Harrimana, natrafiających na każdym kroku na opór strony lubelskiej, świadomej pełnego poparcia Moskwy. Najsilniejszą manifestacją tego poparcia był list Stalina do redakcji „Times’a”, naginający formułę

jałtańską do korzystnej dla Rosji interpretacji, według której projektowany przez Jałtę „rząd jedności narodowej” nie ma być tworem nowym, lecz jedynie rozszerzeniem istniejącej administracji lubelskiej. Ustąpienie aliantów zachodnich wobec tej świeżej tezy mści się dziś nie tylko na Polsce, ale i na Jugosławii, Rumunii i Bułgarii.

Uczynione w rozmowie z Edenem i Stettiniusem wyznanie Molotowa, iż przywódcy Polski Podziemnej zostali aresztowani przez władze sowieckie — wywołało odruch godności i protestu: zerwanie rozmów międzysojuszniczych w sprawie polskiej. Ale wkrótce automatyzm zasady „jednomyślności” zwycięża raz jeszcze, staje się źródłem nacisku, któremu w końcu ulega paru „przywódców polskich z zagranicy”. Hopkins przygotował nowy kompromis, zaakceptował zaś go wyjazd Mikołajczyka do Moskwy. Ów nieszczęsny gest rozgrzeszył aliantów, uspokajając ich sumienia, dostarczając pozorów zgody z Rosją i pozorów wolności i demokracji w Polsce. Na Zachodzie osądzono mylnie, że można już odetchnąć z ulgą.

Krok Polaków, podpisujących układ moskiewski, był bezpośrednią przyczyną cofnięcia uznania Rządowi Polskiemu, był najgłówniejszym środkiem zasłonięcia przed oczyma świata polskiego dramatu. Krok ten naruszał jednolitą postawę walczącej Polski, która na obojętnie mogłaby naszej sprawie dać oparcie i przeciwwagę hamującą dowolność polityki rosyjskiej wobec Kraju. Krok ten, wynikły z utraty wiary, z krańcowego pesymizmu — nie przyniósł Polsce nic, zabrał — wszystko.

Gdyby nawet dalszy bieg wypadków, gdyby nawet dalsza presja rosyjska i dalsze ustępstwa Zachodu wobec złudnej, pokojowej jednomyślności doprowadziły kiedykolwiek do wycofania uznania dla rządu polskiego, jeszcze i wówczas udział w nim wszystkich stronnictw dałby polskiemu protestowi siłę jednomyślności, czyniąc go czynnikiem moralnym tak poważnym, że próżne byłoby wszelkie usiłowania, by nie dostrzec jego wymowy i znaczenia. Jednomyślność polskich niepodległościowych partii politycznych byłaby kontrastem dla sytuacji w Kraju, oparciem dla naszych rodaków, którzy w wyniku zakończenia wojny znaleźli się pod nową okupacją. O ileż większym hamulcem dla pobażliwości aliantów wobec Rosji byłaby obecność jednomyślnego, silnie zorganizowanego frontu politycznego wszystkich niezależnych stronnictw, niż ta gwarancja jaką dla sprawy polskiej ujrzał Mikołajczyk w swym osobistym bezpieczeństwie w sowieckizowanej Polsce. Nie można wprost porównać rozmiarów szkody wyrządzonej Krajowi przez osłabienie moralnego oparcia zagranicą z tą szkodą, za jaką b. premier uważał brak swego osobistego wkładu do walki z naciskiem totalistycznym w Kraju, zwłaszcza że tego, bez podpisywania moskiewskich zobowiązań, mogli się podjąć przywódcy będący na miejscu.

Od tej chwili — od momentu uznania administracji warszawskiej przez państwa zachodnie — Polska walcząca poza granicami Kraju stała się emigracją polityczną. Znaleźliśmy się w sytuacji rozbitków, którzy mają wprawdzie w swym gronie kapitana okrętu i jego oficerów, ale przez innych pozostawieni zostali samym sobie na łaskę i niełaskę losu. W takim położeniu tylko harmonijna współpraca wszystkich może utrzymać w gotowości do działania, gdy nadejdzie pomyślna chwila. To też nie wolno Polakom, którzy mimo upływu 6 lat nie mogą jeszcze powrócić do Kraju, zapomnieć ani na chwilę o wskazanym Prezydenta Rzplitej, wypowiedzianym u progu owego krytycznego roku 1945: „Chwila jest ciężka i decydująca i tylko zjednoczeni możemy osiągnąć nasze cele”.

*

Lato 1945 roku przynosi konferencję w Poczdamie i zwycięstwo Labour Party w Anglii. Konferencja w Poczdamie, rozpoczęta w połowie lipca jeszcze przez Churchilla, twórcę zwycięstwa, zakończona 4 sierpnia już przez socjalistycznego premiera Attlee, nie posunęła ani o krok naprzód sprawy bezpieczeństwa światowego. Głównym jej celem, i to celem — jak pokazał dalszy bieg wypadków — niezrealizowanym, stało się ujednolicenie polityki gospodarczej Sprzymierzonych wobec Niemiec. Nie uczyniono nic dla poprawy sytuacji na Bałkanach, nie ruszono z miejsca ani sprawy cieśnin, ani sprawy perskiej. Kwestię powiernictwa międzynarodowego, którego zasadę ustaliło San Francisco, odsunięto przeźornie do najbliższej konferencji ministrów spraw zagranicznych, zakończonej później jawnym fiaskiem.

Natomiast polityka rosyjska nie zatrzymała się w realizowaniu swych celów. Po wypowiedzeniu w końcu marca 20-letniego traktatu z Turcją, jako „nieodpowiadającego już nowo wytworzonym warunkom”, Rosja domaga się w Poczdamie rewizji konwencji w Montreux oraz wnosi projekt ustanowienia międzynarodowego powiernictwa dla dawnego imperium włoskiego w Afryce, przygotowując się w ten sposób do zażądania Trypolisu i Erytrei.

Dzień 6 sierpnia 1945 r. — to data, którą historia niewątpliwie uzna za chwilę przełomową rozgraniczającą dwie epoki. W dniu tym spada pierwsza bomba atomowa, burząc w Japonii miasto Hiroszimę. Kończy to wojnę z Japonią, do której Rosja uprzednio pośpiesznie przystąpiła, aby choć symbolicznym udziałem w walce z żółtym imperializmem stworzyć sobie sposobność do wyciągnięcia ręki po owoce zwycięstwa na Dalekim Wschodzie. Obok tego poprzez traktat z Chinami, Rosja umacnia swe wpływy i kontrolę gospodarczą w Mandżurii (dzięki umowie kolejowej), zbliżając się tym samym do Pacyfiku. Wkrótce potem dochodzi do rozbitcia rokowań między centralnym rządem chińskim, a przywódcą komunistów Mao-Tse-Tungiem; Chiny znów stają się widownią wojny domowej. Obszary dawnego cesarstwa chińskiego są na północy wzdłuż niemal całej linii granicznej terenem sowieckiej penetracji. Nie darmo też prasa sowiecka występuje w roli adwokata niepodległościowych ruchów indonezyjskich, niedarmo też interesuje się zmianami na terenie Indii i podsyca ruchy seperatystyczne na Środkowym Wschodzie.

Z początkiem września ub. roku zjawia się nagle sprawa Azerbejdżanu, aby w końcu doprowadzić do oderwania w praktyce tej prowincji od państwa perskiego i poddania jej pod kontrolę sowiecką. Towarzyszą temu roszczenia wysuwane przez sowiecką Armenię wobec terytorium tureckiego oraz niebezpieczeństwo kurdyjskie w Turcji i Iraku. Równocześnie Rosja zaczyna zajmować coraz wyraźniejsze stanowisko wobec sprawy arabskiej, próbując występować w roli protektora i obrońcy niepodległości małych państw arabskich, oraz wykorzystując antagonizm między dynastią haszemicką i wahabicką. W ten sposób dochodzi do okrażenia Turcji i napięcia politycznego, przypominającego rok 1939 w Europie.

W Europie, na niedużej londyńskiej konferencji ministrów spraw zagranicznych, nie zdołano uzgodnić poglądów w sprawach Europy południowo-wschodniej, ani też dojść do porozumienia co do warunków pokoju z Włochami. Na tych terenach, gdzie wpływy sowieckie nie są jeszcze dostatecznie ugruntowane, mniej lub bardziej demokratycznie przeprowadzone wybory przynoszą komunistom klęskę na Węgrzech i w Austrii.

Ostatnia konferencja trzech ministrów wielkich mocarstw w Moskwie w pierwszej chwili wydawała się osiągnięciem jakiegoś modus vivendi. W istocie rzeczy wszystkie niemal poważniejsze zagadnienia, oprócz wątpliwej w skutkach interwencji politycznej na Bałkanach, odłożono na później, ustalając na razie tylko sposób przygotowania traktatów pokojowych i starając się stworzyć pozory współpracy, które by umożliwiły rozpoczęcie we względnie spokojnej atmosferze pierwszej sesji Ogólnego Zgromadzenia Organizacji Zjednoczonych Narodów.

Nad otwartą obecnie konferencją kilkunastu państw wisi groźba prawa weta i bomby atomowej. Wśród wszystkich narodów rozwija się coraz silniejsze przekonanie, że cywilizacji światowej grozi zagłada, której nie uda się uniknąć, jeżeli nie zostanie przywrócone w świecie panowanie prawa i sprawiedliwości. Ta zasada musi stać się najważniejszą, musi zwyciężyć ślepa reguła „jednomyślności wielkich mocarstw” i położyć kres w jej imię dokonywanym ustępstwom. Tylko znalezienie jasnej, wyraźnej koncepcji pokoju i stanowczość w jej realizacji — wbrew przeszkodom stawianym przez partnera wschodniego — może zapobiec katastrofie.

Polska myśl polityczna może w dużym stopniu przyczynić się do krystalizacji tej koncepcji, o ile posiadać będzie dostateczną siłę przekonywania. Emigracja polska — jako źródło tej myśli — musi zdobyć się na postawę twórczą, a tej osiągnąć się nie da w warunkach wewnętrzznego rozbitcia.

Tylko właściwe wykorzystanie wartości i uzdolnień indywidualnych — bez względu na ciasne granice podziałów partyjnych — może kształtować tę postawę.

Niemcy, w czerwcu 1945 r.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

OBCA WOLNOŚĆ

*Odmierza czas drżenie liści słonecznych tak wielu
i spokój piękny, jak myśl dziecinna, na drzewach się rozpiął —
Ku zielonej przestrzeni mnie skieruj,
abym wolna nareszcie wyrosła —
Jasny Boże, co w rękach masz gromy,
choćby serce ciche od dobroci.*

*Zapomniałam już kraju, choć wszystko
z niego w świecie ma dla mnie początek;
przecież w drzewie słonecznych liści
wiatr się polski wieczorem zaplątał,
przecież żyta są jasne jak na wsi,
w której zawsze ludzie strachem żyją.*

*O, daleka, żołnierska Ojczyzno —
trudnie ręk i cmentarzu młodości
i tułaczko bez rachuby lat.*

*W obcych drzewach polski błądzi wiatr,
blyszczą trawy i chwieją się chwile.
O, daleka, żołnierska Ojczyzno —
trudnie ręk i cmentarzu młodości —
na ramionach cały nosisz świat —
obcą wolność, bez własnej wolności.*

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

CZCIGODNE DZIECKO

NIEZWYKŁY doprawdy jest ten gość, który odwiedził mnie, tak bardzo niezwykły, że nie wiem jak go tytułować. „Pan”? — Ależ on przed kilku dniami skończył trzynaste lat! „Kawalerze!” — jak to się mówiło dawniej w Polsce za moich dziecinnych lat do chłopców w tym wieku. Też nie idzie, ponieważ ten trzynastoletni „kawaler” jest kawalerem... Krzyża Walecznych. Dostał to odznaczenie w Warszawie, na miesiąc przed kapitulacją, z rąk dowódcy powstania, generała Bora-Komorowskiego, obecnie Wodza Naczelnego.

Przyszedł do mnie w towarzystwie p. Andrzeja Pomiana, oficera Armii Krajowej, i razem, na spółkę, uchwaliśmy we trzech, że przecież najodpowiedniej będzie się zwracać do niego „per ty”. Obecnie zresztą nie jest już żołnierzem, ale uczniem w jakiejś szkole angielskiej, co ułatwia mi używanie owego „ty” w rozmowie z trzynastoletnim Mirosławem W., choć zaimek osobisty drugiej osoby liczby pojedynczej wydaje mi się ciągle nieodpowiedni, jak za nieodpowiedni uznałem także sam zaimek liczby mnogiej. „Wy”? Nie, to nie ma sensu! Niechże już będzie „ty”!

Patrzę na mego gościa i przypominam mi się przeczytany świeżo „Nurt” Berenta. Henryk Dąbrowski mówił po polsku raczej kiepsko i nie zawsze zdawał sobie znaczenie z ciężaru gatunkowego pewnych słów. Tak więc, gdy niespełna półtora wieku temu jakiś młody chłopiec zwił ze szkoły Pijarów i postanowił wstąpić do wojska, Dąbrowski nie przyjął smarkacza i do szkoły na powrót odesłał, nie omieszkawszy jednak w rozkazie dziennym pochwalić kandydata, używając słów „czcigodny młodzieniec”. Oczywiście, ten przymiotnik kłóci się jakoś z rzeczownikiem, ponieważ normalnie „młodzieniec” nie bywa „czcigodnym”.

Myśląc nie tyle o błędzie ile o nieporozumieniu językowym, przechodzę do wniosku, że w rozmowie z Mirosławem W., czyli po prostu „Mirkiem” zostanę przy „ty”. Primo, nie jestem Dąbrowskim, secundo, mówię nieźle po polsku, tertio, mój gość nie jest młodzieńcem, jest jeszcze ciągle dzieckiem, wchodzącym dopiero w wiek chłopięcy. Tak, on jeszcze jest w okresie dzieciństwa, na które u poetów spadają lzy „sielskie, anielskie”, a czeka go „młodość górna i chmurna”.

Dziecko... Hm, wątpliwości moje rosną w miarę rozmowy. Mirek brał udział w Powstaniu Warszawskim od samego początku, od 1 sierpnia 1944 r., aż do dnia ostatniego. Po kapitulacji dostał się do niewoli. Wtedy nie miał jeszcze lat dwunastu. Ojca zabili Niemcy w pierwszych latach wojny, matka straciła się gdzieś na dzień przed wybuchem powstania. Został on jeden i siostra, trochę od niego starsza, z którą razem brał udział w powstaniu. Razem strzelali z karabinu maszynowego, pomagając sobie nawzajem. Rzucił granaty. Umie posługiwać się rozmaitymi rodzajami broni. Sypie terminami technicznymi, przedstawia sytuację według planu Warszawy. A wtedy, wtedy nie miał jeszcze dwunastu lat.

Patrzymy obaj na siebie, ja i kapitan Armii Krajowej, Andrzej Pomian. Patrzymy i jest nam nieswojo. Wzruszenie. Oczywiście, wzruszenie. Nic innego tylko wzruszenie, które okazuje skłonność do zwyczajki, ponieważ nieletni kawaler Krzyża Walecznych informuje nas obu z niezwykłą skromnością, że wcale nie był najmłodszym uczestnikiem Powstania Warszawskiego.

— Ani się śniło! Byli młodszy! Grubo młodszy!

Teraz już nie patrzymy na siebie z kapitanem. Przeciwnie, unikamy spojrzenia, a nawet obaj poszukujemy dyskretnie choć zrazem i gwałtownie chustki do nosa. Niemiska to rzecz siakać nos przy wojennym opowiadaniu, ale zaiste, jeszcze podobnego opowiadania nie dane mi było słuchać, choć słyszałem sporo i rozmaitych rzeczy.

— Więc zaczęło się to na Wiejskiej. Tam byłem z siostrą, a na dachu stał c.k.n. Niemiecki c.k.m., ale w naszych rękach. I szedł właśnie atak na sejm. Przysunęliśmy więc ten karabin do takiej ściany, w której była dziura. Miałem hełm, który mi zresztą niewiele pomógł, bo drugiego dnia dostałem w głowę. Ale jakoś bokiem poszło. A wtedy, pierwszego dnia, przywiązałem się paskiem do rączki tego karabinu, bo mi tak było lżej. I ci Niemcy idą przez Wiejską. Więc ja w nich! Lubudu! Lubudu! Potem byłem taki zmęczony, że wstać nie mogłem. Więc, jak przyszli starsi, to chcieli mnie usunąć... ale ja i tak nie dałem się oderwać od karabinu. Wodę na mnie lali...

Nie kłamie. Ponad wszelką wątpliwość nie kłamie. Opowiada jak o rzeczy zupełnie naturalnej, zwykłej, codziennej. Czasem wybuchają śmiechem, naprawdę dziecinny, czasem zaś gestykuluje jak człowiek dorosły. Słucham i obserwuję, a wzruszenie powoli robi miejsce głębokiemu smutkowi. Nie patrzę na kapitana, wiem jednak, że na pewno czuje to samo, co i ja.

... Więc, tam były granaty ręczne, wie pan, no, te, jakże się nazywały? Aha?, już sobie przypomniałem: „filipinki”! Tak, filipinki! Więc ja łączyłem te filipinki po trzy albo i po cztery, i lubudu, lubudu w Niemców...

Na szczęście, tok opowiadania przerwało pukanie do drzwi. Gospodyni moja, z którą

rozmawiałem o zapowiedzianej wizycie tego niezwykłego gościa, sama, z własnej inicjatywy, przygotowała herbatę, jakieś ciastka, keksy i t.d. Ta gospodyni, żona polskiego oficera, jest Francuzką. Pobrali się rok temu, jeszcze we Francji, gdzie oboje służyli w polskim wywiadzie. On dostał Virtuti Militari i Legię Honorową, ona, Francuzka, ma polski Krzyż Walecznych. Przedstawiam jej tego „kawalera”, dodając, że ma w nim kolegę, mianowicie kolegę po Krzyżu Walecznych.

... Treize ans. — dodaje.
... Mais comment? Alors pendant l'insurrection de Varsovie il n'avait que douze!
... Moins, madame. Onze ans et demi...
... C'est inouï! Mais il a l'air plutôt d'un enfant que d'un garçon!

Pani ta, miła, zacna, inteligentna i wielka patriotka polska, oczekuje w niedługim czasie potomstwa. Oboje z mężem cieszą się z góry, że to będzie syn. Nie mówią o tym dziecku nigdy inaczej niż „lui”, „on”. Teraz ta Francuzka, odznaczona polskim Krzyżem Walecznych, patrzy na swego kolegę po owym Krzyżu, a pewnie myśl jej snuje się dookoła wątku: czy mój syn będzie taki sam? Czy — w danym wypadku — pójdzie taką samą drogą? Czy...

— Il n'avait qu'onze ans et demi...
Rozmowa trochę przygasa, choćby ze względu na to, że muszę zabawić się w tłumacza. Po chwili gospodyni wyszła, mój gość zaś z nietajonym, prawdziwie dziecinny apetytem zabiera się do ciastek, do keksów czekoladowych, snując dalej swą niezwykłą, a krwawą opowieść. Obaj z kapitanem, przygarbieni trochę, milczymy, chłopiec zaś, czcigodny chłopiec czy czcigodne dziecko, opowiada w dalszym ciągu z pełnymi ustami.

— No, tak, ale... przerywam tok. — Ale przecież nie zawsze byłś w pierwszej linii?

... Naturalnie, że nie. Jak zostałem ranny i jak mimo to poszedłem na pozycję, to mi za karę nie pozwolili — był taki major i jeden porucznik — przez tydzień bić się. Tylko, że ja zaraz drugiego dnia znalazłem nowy hełm niemiecki i poszedłem. Trochę mi się w głowie zawracało i byłem bardzo słaby...

Opowiada w dalszym ciągu. O barykadach, o jakichś wyprawach przez kanały, o mel-dunkach itd. Jeśli jest w tym wszystkim brawura, nazwałbym ją raczej dziecinną brawurą. Zabawa w Indian. Tylko, że ta zabawa jest zabawą na serio.

— No, a co sądzisz o nowych okupantach? — przezywam znowu ciągłość monologu.

— Tacy, jak tamci — opowiada gość, sięgając po ciastko. — (Albo nawet gorsi! Węć, jak mnie wysłali major X. i porucznik Y. z tym meldunkiem na Powiśle, przez kanały...

Opowiadanie staje się jeszcze bardziej żywe, gestykulacja nabiera na sile, raz po raz trzynastoletni kawaler Krzyża Walecznych wybuchają śmiechem, półobuzerskim, półdziecinny, ale mi obaj, kapitan i ja, niemal na komendę przestajemy słuchać. Co więcej, obaj myślimy o tym samym. I obaj, jakbyśmy się umówili, zaczynamy do tego chłopca mówić to samo. Że powinien zapomnieć o tamtych obrazach. One nie zaginą w jego pamięci,

ale teraz lepiej nie wywoływać ich zbyt często. Obaj, w jednakowy sposób, staramy się prosto, „popularnie”, przedstawić nasze zapatrywanie. Człowiek został stworzony nie po to, by zabijać. Przeciwnie, powinien pomagać drugim żyć. Zwłaszcza w młodym wieku niech myśli o obowiązkach, które są właściwe, przyrodzone, odpowiednie. Tamto skończyło się. O wszystkim „tamtych” trzeba zapomnieć. Trzeba zacząć zupełnie inne, nowe życie...

— A, naturalnie! — odpowiada chłopiec, odsuwając tackę z ciastkami. — Przecież ja teraz uczę się.

Głos jego jest w tej chwili jakby niższy, ton dojrzały, niemal męski, w każdym razie, młodzieńczy raczej niż dziecinny. Mówi te słowa poważnie, zamyślony, gestykulując także inaczej, mniej żywo. Teoretycznie zapisany jest do polskiej szkoły kadetów marynarki, ale że tam obecnie jakoś nie ma miejsca, więc chwilowo wstąpił do szkoły angielskiej.

— No, od biedy zaczynam dawać sobie rady. Z każdym dniem szwargocę coraz lepiej. Ale muszę nauczyć się porządnie, żebym po powrocie do Polski mógł tam każdemu tą angielszczyzną...

— Zaimponować — dodaje w myśli, i widzę przed sobą znowu dziecko, normalne, trzynastoletnie dziecko o ambicjach dziecinnych, które teraz błyskają w oczach refleksem jakby przyszłego tryumfu.

— No, a jeszcze chciałbym o coś zapytać. Mianowicie, co się z tobą działo po kapitulacji?

— Nic szczególnego. Po prostu dostałem się do niewoli. Jak wszyscy.

— Tak, ale niech mi pan powie... Tj. powiedz mi, jak Niemcy patrzyli na ciebie?

— Nie rozumiem.

Muszę wyjaśnić me pytanie. Idzie mi o to, czy Niemcy uznali to za rzecz naturalną, że przyszło im wziąć w niewolę takiego jeńca. Chłopiec jeszcze nie rozumie, dodaje zatem, że przecież musieli się zdziwić przy ściąganiu generalistów, gdy przyszło do podania wieku.

— E, nie zanadto, bo nas tam było więcej takich młodych jak ja. No, i — mówiłem już przecie, że znaleźli się także młodszy, grubo młodszy. Na przykład...

Nie chcę słuchać o tych „jeszcze” młodszych, pvtam więc, jak ich traktowali Niemcy w niewoli, i dowiaduję się, że... zupełnie normalnie. Jak w niewoli. Zresztą mój gość nie wszystko, co dotyczy niewoli, przypomina sobie tak dokładnie, jak przypomniał sobie szczegóły walki. Naipierw, ti. bežnośrednio po kapitulacji. znalazł się w Ożarowie, potem w jakimś obozie jenieckim koło Hamburga. Ale tam dostał szkarlatynę, więc już mu nie które rzeczy wyszły z głowy.

Staram się zrekonstruować tę przedziwną bajkę, która jest prawdą od a do z. Prawdziwość jej nieprzetworzył Krzyż Walecznych. Ten chłopiec ani nie przesadza, ani — tym bardziej — nie kłamie. To wszystko prawda. Ojciec zabity przez Niemców z początku wojny, jeszcze w Poznańskim. Potem nobyt w Warszawie przez cały czas okupacji. Na dzień przed wybuchem powstania matka gdzieś

przepadła. Potem całe powstanie od pierwszego do ostatniego dnia. Walka w pierwszej linii. Potem kapitulacja, potem długi pobyt w niewoli i szkarlatyna, która sprawiła, że pewne obrazy trochę zatary się w pamięci.

Szkarlatną wydaje mi się być ta bajka dziś, trzynastoletniego chłopca, który jest zdania, że obecnie trzeba się uczyć nie na żarty. To jego postanowienie krzepi mnie jakoś, lecz nie mogę opędzić się myśli, że w życiu mego gościa jest jakaś straszliwa luka... Nie. Właśnie, że nie luka. Tych kilka lat, w ciągu których jego rówieśnicy w innych krajach bawili się żołnierzami ołowianymi czy z papieru, tych kilka lat wypełnia takie mnóstwo faktów niezwykłych, taka gęszcz zdarzeń i przeżyć, że żaden, choćby najbardziej fantastyczny film nie może iść w paragon. Przypadki Stasia z powieści Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy” są jakby sielanką, majówką, jeśli porównamy je z kartą służbową tego nieletniego żołnierza Armii Krajowej.

Czy nie zakamienieje serce jego? Czy w tym sercu znajdzie się grunt podatny dla uczuć innych, niż te, które znalazły upust podczas powstania? Czy, mając dzisiaj zaledwie trzynaście lat, potrafi jeszcze być młody młodocia prawdziwą? Czy tej młodocia nie zabiła walka? Czy zachowane w pamięci obrazy: krew, trupy, wycieczka przez kanały, czy to wszystko, pomieszane z hukami bomb, armat, karabinów maszynowych i wspomnianych „filipinek”, czy ten cały chaos, ten wir, czy — jednym słowem — te lata wojny nie zaciążą na reszcie życia?

Chłopiec umilkł, jakby znużony ogniem pytań, on, który stał tak długo w ogniu strzałów. — Zapanowała cisza. Wyznaję otwarcie, że odechciało mi się dalszych pytań, jak i kapitan Pomian stracił jakoś ochotę do indagacji. Lecz chłopiec — może dzięki intuicji — po chwili sam zaczyna mówić, chcąc jakby dać kropkę nad i. Bajka krwawa, która urwała się na szkarlatynie, ta bajka, cała szkarlatna idzie dalej. Zmieniła kolor. Teraz jest już nie czerwona, ale białoczerwona. Chłopiec, opowiadając, wybucha raz po raz śmiechem dziecinny, jasnym, wesołym, a głos podwyższył się mu o jakąś co najmniej tercję. Jest głosem dziecka.

Obóz ich w Niemczech odbiła polska brygada pancerna. To skok nagły, obrót o 180°. Wszystko się odmienia. Polacy! Sami Polacy! Jakiś znajomy ojca. Jakaś podróż z tymże znajomym ojcem, w samochodzie, który gna z szybkością błyskawiczną. Morze. Wilhelmshaven. Port. I w tym porcie trzy polskie kontrtorpedowce, mianowicie „Krakowiak”, „Kujawiak” i jeszcze jakiś inny. Ale torpedowce to jeszcze nic: w porcie stoi polski krążownik „Conrad”. I...

Sam, przed jakimś rokiem wydałem bajkę dla dzieci p.t. „Pędziwiatr”. Jest to fantastyczne opowiadanie o chłopcu, który po wielu, wielu przygodach i awanturach, dostał się z Polski na pokład polskiego okrętu wojennego, gdzie znalazł ojca swego — marynarza. Bajka opowiadana mi przez trzynastoletniego żołnierza Armii Krajowej, dystansuje, zapędza w kozi róg moją fantazję. Ta bajka jest jeszcze bardziej nieprawdopodobna, i jest... piękna, przepiękna. Mój bohater, „pędziwiatr”, znalazł przypadkowo ojca na pokładzie polskiego kontrtorpedowca. Mój gość znalazł na pokładzie krążownika „Conrad” stu, ba, kilkuset ojców.

Już w Niemczech, po odbiciu przez brygadę pancerną, dostał mundur wojskowy, teraz jednak mundur ustępuje miejsca mundurowi marynarskiemu, który uzupełnia jakiś, zapewne adoptowany specjalnie, nieprzemakalny płaszcz „wachtowy”, plus pas ratunkowy. Z opowiadania wynika, że psują tego chłopca oficerowie i cała załoga. No, i pewnie kucharz. Wyobrażam sobie.

Bajka trwa. „Conrad” miał odejść prosto do Anglii, a tymczasem w związku z jakimiś rozkazami, poszedł gdzie indziej. Przypada ma ciąg dalszy. Nadięga burza. Prawdziwa burza morska. Ach, jaka burza! Mirek opowiada o tej burzy z przejęciem o wiele większym niż opowiadał o walce na granaty ręczne. Przecież o mało, mało nie utopił się, gdy go zmyła fala...

— Puściłem się na chwilę linki, bo mnie odepchnęła woda... I... No, wcale nie było tak zimno, a zresztą ten płaszcz wachtowy nie przepuścił wody, więc nawet nie cały przemoczyłem się... Ach, jaka to była burza, mówię panu!

Obraz tej burzy, bryzgi nagłe fal, wysiłki marynarzy, by złapać chłopca i wyciągnąć z powrotem na pokład (padła komenda „Cała w tył”), ratunek i t.d. i t.d. — cały ten epizod zdaje się żyć w pamięci chłopca o wiele silniej niż obrazy walki. Przy tym, okręt wojenny, maszyna, ster, dźwigi i t.p. — wszystko to zdaje się wchodzić w najistotniejszy zakres zainteresowań tego — czyż to dziwne — nad podziw inteligentnego chłopca. Oczywiście, gdy z zacięciem i z humorem opowiada o swych przeżyciach na pokładzie „Conrada”.

— Mirek — pytam, obniżając nieco dia-pazon, — a choroba morska była? Powiedz?

— Choroba morska?! Skądże znowu? Przecież ja zapisałem się do szkoły kadetów marynarki! Ja nie choruję na morzu!

Zdaje mi się, że obraził się trochę na mnie...

PREMIER TOMASZ ARCISZEWSKI i MINISTER ADAM PRAGIER do Polaków na Środk. Wschodzie

W dniu 11 listopada 1945 r. w niedawną rocznicę odzyskania niepodległości przez Państwo Polskie, premier Tomasz Arciszewski oraz prof. Adam Pragier, minister Informacji i Dokumentacji, przesłali dla Polaków na Środkowym Wschodzie — za pośrednictwem pisma „W Drodze” — oświadczenia, które poniżej zamieszczamy.

Niestety, obie depeche redakcja otrzymała z opóźnieniem, już po wydaniu numeru pisma, później zaś niezależna od nas przerwa w ukazywaniu się „W Drodze” sprawiła, że dopiero dziś, u progu nowego roku polskiej walki i tulaczki, możemy podzielić się z czytelnikami słowami niezłomnej wiary w słuszność naszej sprawy wypowiedzianymi przez członków Rządu Rzeczypospolitej.

„Pierwsza wojna światowa dała nam wolność — druga wojna światowa nie przyniosła nam oczekiwanego wyzwolenia, dla którego Polacy ponieśli bezgraniczne ofiary. Wraz ze wszystkimi moimi rodakami trwam w wierze w ostateczny tryumf naszej sprawy, który będzie tryumfem prawa i rzetelnej demokracji.

Zwracając się dziś do Polaków na Środkowym Wschodzie wyrażam me głębokie przekonanie, że chwila ta jest już niezbyt daleka”.

TOMASZ ARCISZEWSKI,
Premier Rządu Rzplitej.

„Bieg dziejów sprawił, że Polska, która pierwsza stanęła w poprzek na drodze Niemiec do opanowania świata, nie odzyskała dotąd wolności.

Naród w Kraju trwa i walczy w najtrudniejszych warunkach o zachowanie swego bytu. Na Polakach, których losy rzuciły na obczyznę, ciąży obowiązek najwyższego wysiłku w obronie niepodległości. Muszą oni, gdziekolwiek się znajdują, czynić to, co nie jest dane czynić Rodakom w Kraju: ukazywać wobec całego świata krzywdę Polski i niebezpieczeństwo grożące wszystkim wolnym narodom”.

Prof. ADAM PRAGIER,
Minister Informacji i Dokumentacji.

JANUSZ JASIEŃCZYK

„UWAGA MAREK — BOLO WOŁA...”

Poniżej drukujemy fragment rozdziału „Wycieczka” z książki Janusza Jasińczyka pt. „Po Narviku był Tobruk...”, która ukaże się wkrótce nakładem Sekcji Wydawniczej Jednostek Wojska na Środk. Wschodzie.

Jest to debiut młodego autora, współpracownika polskiej prasy podziemnej, później zaś — po opuszczeniu Kraju — uczestnika walk w Pustyni Libijskiej.

— UWAGA Marek, Bolo woła — — —
— uwaga Marek, Bolo woła. — — —

Stracił już głos podch. Sarnowski, zastąpił go plutonowy Wiecha, ale słowa zostały te same: równie monotonne, denerwujące i równie bezskuteczne, już zda się bezcelowe.

W kółko powtarzane wyrazy działają na Majora jak brzęczenie natrętnych muchy.

— Mówił dziad do obrazu — zżyma się Kopuć do ucha stojącego obok Sikorskiego.

— Musiało nawalić im radio — pada odpowiedź. — Wysłałiśmy najlepszego radiotelegrafistę Dudziaka. On nie zawiódł — chyba że miał jakiś wypadek. Musimy czekać na naprawienie naszych linii telefonicznych.

— To może potrwać, widocznie moździerze uszkodziły druty. Jeżeli w paru miejscach, to i że trzy godziny mogą się z tym załatwiać. Niech to jasna cholera!

Cisza. Umilkł nawet na chwilę zmęczony głos artylerzysty obsługującego radio. Nagle, jak nóż w ciało ofiary, wdziera się w tę ciszę oddalony o kilkaset metrów od włoskich placówek Romana ostry dzwonek telefoniczny.

Telefonista Maciak zdębiał: nie może ruszyć ręką. Telefon dzwoni długo, donośnie, jak w przytulnym gabinecie jakiegoś przedwojennego mieszkanka. Stojącym za znikomą ochroną kamiennego murka ludziom zdaje się, że miliony szpilek klują ich mózgi, rdzeń pacierzowy, przebijają bębenki w uszach. Żołnierze czeskiej ochrony popodnosili głowy: za chwilę zacznie się piekło.

Telefonista Wołyński pierwszy odzyskuje przytomność. Chwyta słuchawkę — dzwonek milknie.

— Artylerzyści naprawili linię — melduje Wołyński — była przerwana pociskiem koło szosy.

— Dobre i to — cieszy się Kopuć. — Ale my, zdaje się, dostaniemy ogień przez ten idiotyczny dzwonek.

Spogląda na zegarek korzystając ze światła właśnie wystrzelonej rakiety.

— Już druga. Za pół godziny należałoby rozpocząć strzelanie. Ale jeśli mieli jakieś przeszkody, jeśli opóźnił wymarsz...

Dalsze słowa więzną w gardle dowódcy. Dławi go poczucie bezsily. Przykucnął za murkiem, pali papierosa za papierosem. Dochodzący z jaskini szepot radiotelegrafisty zdaje się drażnić dziurę w mózgu Majora. Skandowane wyraźnie nazwy obu stacji biją w niego jak krople wody, sączone na czoło skazańca poddanego wymyślniej torturze. On jest dowódcą, on odpowiada przed Generałem za powodzenie wycieczki, za życie stu ludzi, za honor Batalionu.

„Dowódca, psia krew, dowódca! — myśli z goryczą Major. — Czy nie w lepszej sytuacji byli dawni namiestnicy czy rotmistrz, rzucający się do szarży na czele swoich chorągwi? Nie mieli nowoczesnej łączności, radia, telefonu, narażali się osobliście, a jednak kierowali bitwą. A ja? Cóż z tego, że siedzę w stosunkowo bezpiecznej dziurze, co z tego, że dysponuję patrolami telefonicznymi i skomplikowanymi zdobyciami techniki? Mam rozkazywać ludziom, o których nie wiem nic, kompletnie nic. Mam ich wspierać ogniem artylerii, a nie wiem czy są gotowi do szturmu. Ba, nie mam pojęcia, gdzie się w ogóle znajdują i czy nie na nich właśnie spadną przedwcześnie wystrzelone pociski naszych armat...”

Przed chwilą dzwonił płk. Peszkowski. Major nie umiał mu nawet podać dokładnej godziny wymarszu z podstawy wyjściowej — wiedział tylko, że Marek wyruszył z S 29 o godz. 11.15.

Ale co z tego? Czy można polegać na teoretycznych przypuszczeniach, że przechodzenie kenienu zajęło wycieczce 30 do 40 minut, że wobec tego o północy ruszyli w głąb ziemi niczyjej?

Major stoi znowu za murkiem i korzysta z każdej rakiety, aby schwytać jakiś ruch na przedpolu. Nie odrywa oczu z lunetki, zmienia punkty obserwacji, czeka z niecierpliwością na każdy nowy błysk światła, rozrywający na moment czarną kurtynę nieba. Na próżno: scena, po której muszą poruszać się jego ludzie, jest stale jednaka — martwa, pusta i cicha.

Tylko wiatr szumi pod hełmem, przynosząc czasem jakieś słowo z leżącego naprzeciw Pimpla lub szczekanie psa z dalszych włoskich pozycji. Tylko Wiecha powtarza w kółko swe beznadziejne, idiotyczne wezwania.

— Radio do chrzanu — melduje Kapitani podchorąży Dudziak. — Zgubiłem antenę, musiała się wysunąć, gdy upadłem podczas przechodzenia wawozu. Do ostatniej chwili myślałem, że sterczy na plecach, dopiero teraz...

Stary nie odpowiada, nie ma czasu na gawędy. Zadanie musi być wykonane, trzeba poznać jakąś decyzję. Spogląda na zegarek: jest 2.25.

Oddział wycieczkowy przypadł na parę minut do ziemi. Przed chwilą liczący kroki Maślak podał odległość, na której należy wykonać zwrot w lewo. Kapitan zatrzymał wojsko, wyrównał linię plutonów, wysunął się na czoło karierów*) i postanowił dać zmęczonym ludziom dziesięć minut spoczynku: po tak forsownym marszu i przed szturmem jest to konieczne.

Ze wszystkich stron dochodzą odgłosy pokasywania lub obce słowa rozmowy. Oddział oddalił się o dwa kilometry od wawozu, minął już dawno Pimpla i „Wioskę”, i teraz znajduje się w środku wieńca włoskich pozycji jak zajęca w kotle. Nie, raczej odyniec lub lis — jeszcze nie słyszano, aby zajęca dobrowolnie wlaźli pomiędzy krąg myśliwych i nagonki.

Zewsząd błyskają rakiety. Te z Pimpla i W 69 przestały już być groźne: po wystrzeleniu oddalały się od oddziału, lecąc w kierunku czeskich „Esów”. Ale strzelają też z „Wioski” i gdzieś z W 84 czy 85. Chwilami robi się jasno jak w dzień. Na szczęście nędzne suchorosty, barwa ochronna kombinezonów i wzorowa nieruchomość ludzi upodabniają oddział do rozrzuconych po pustyni kamieni.

Porucznik Drelich, leżący obok Starego, z troską spogląda na niego: już wie o defekcie w radiostacji. Ale twarz Kapitana jest jakby z kamienia, choć mózg pracuje jak potężne dynamo, a wola szuka wyjścia z sytuacji.

Za pięć minut, według umowy, ma być otworzony ogień. Jeżeli Kopuć, nie mając wiadomości przez radio, zarządzi strzelanie zgodnie z ustalonym planem — oddział nie będzie mógł należeć do wykonania zadania. Trzeba jeszcze przejść pod kątem 30° ponad 400 metrów, co zajmie z godzinę czasu. W drodze wypadawcy mogą się dostać pod ogień własnej artylerii, bo znajdują się w tej chwili zbyt blisko ustalonych celów ostrzeliwania.

Kapitan korzysta z każdej rakiety, aby śledzić posuwające się wskazówki zegara. Jeśli o wpół do trzeciej nie rozpocznie się ogień, to znaczy, że Kopuć liczy się z opóźnieniem i będzie zwlekał.

Druga dwadzieścia sześć — — — — — druga dwadzieścia osiem — — — — — duża wskazówka zbliża się ciagle do szóstki.

Długa jak wiek przerwa ciemności i znowu błysk: już dwie minuty po wpół do trzeciej: cisza!

Jandziłł czeka jeszcze trzy minuty, unosi się i pochylony rusza naprzód. Stu ludzi naśladuje jego ruchy.

— — — — —

— Uwaga Marek, Bolo woła...

Nikt już nie zwraca uwagi na wołanie plutonowego Wiechy, nikt nie wierzy w nawiązanie łączności z Markiem. Plutonowy już tylko z rzadka powtarza swój beznadziejny pacierz: ogranicza pracę do nasłuchu — może jednak odezwie się w słuchawkach znajomy głos podchorążego Dudziaka.

Inny problem absorbuje teraz dowódców. Czas się nie zatrzymał. Kręcą się na całym świecie małe kółka zegarków. Nie próżnuje także artylerysty zegarek majora Sikorskiego, który właśnie jest tu po to, aby zarządzić ogień. Duża, błyszcząca wskazówka na pokrytej licznymi podziałkami tarczy minęła już mniejszą tarczkę, która liczy minuty w razie uruchomienia stopera: jest 2.20.

Sikorski jest za rozpoczęciem strzelania według ogólnego planu, to znaczy o wpół do trzeciej.

— Cisza na przedpolu — tłumaczy Kopućowi swe stanowisko — przemawia za tym, że nasi bez przeszkód docierają teraz do podstawy szturmu. Sądzę, że wasze patrole dobrane obliczyły czas marszu. Jeżeli zatem nie otworzymy ognia o oznaczonej poprzednio godzinie, zdezorientujemy Jandziłła i narazimy siedzącego teraz pomiędzy Włochami Marka na przypadkowe wykrycie i zniszczenie gwałtownym ogniem włoskim z wszystkich stron. Jandziłł nie może zaczynać natarcia, dopóki nie zdławiemy ośrodków ogniowych niepla i nie wzniciemy tam zamieszania, a przecież nie zdoła zbyt długo leżeć niepostrzeżenie pomiędzy „Wioską” i dalszymi pozycjami włoskimi. Z pewnością musi się tam odbywać ruch ludzi, a może i wozów.

— W zasadzie ma pan rację — przyznaje Kopuć. Jeśli do wpół do trzeciej nie będzie wiadomości od Marka — każ pan strzelać.

Głos dowódcy Baonu brzmi spokojnie, ale we wnętrzu coś krzyczy wbrew rozsądnym wywodom artylerzysty: „Nie! Nie! Nie pozwól strzelać do swoich...”

— Ta ti ta — — — — — ta ti ta — odzywa się telefon.

To z Brygady.

— Brak nowych wiadomości, Panie Pułkowniku — melduje Kopuć, zapominając o zakazie wymieniania stopni. — Na przedpolu

*) Mowa o spiesznym oddziale.

spokój, rakiety jak zwykle. Jestem pewien, że nie zblądzi, ale przejście wawozu mogło im zabrać więcej czasu. Czy ruszyć Baby o ustalonej godzinie?

Pułkownik Peszkowski jest zdania, że jeśli nie będzie nowych meldunków, to należy się trzymać ustalonego terminu.

Dwie pełne napięcia minuty. Dowódca piechoty czuje wyraźnie bicie tętna w skroniach, jakiś wielki ciężar tłoczy mu mózg. Wreszcie major Sikorski podnosi słuchawkę. Zgłasza się natychmiast dowódca Karpackiego Pułku Artylerii.

— Tu Carpenter Gawel — mówi spokojnie Sikorski — prosimy rozpo...

— Ta ti ta — — — — — ta ti ta — wpada mu w słowo brzęczyk telefonu piechoty. Sikorski zakrywa ręką mikrofon. Kopuć rzuca się na swój telefon.

— Hallo — mówi prawie głośno — tu Carpenter Tiger.

— Tu Basiak — słyszy w słuchawce. — Naprawiłem linię.

— Gdzie jesteś? — woła Major — co z Markiem? pauza — — — — — Aha, dobrze, Bogu dzięki! Jednego zostawić, ty z drugim wracaj tu zaraz.

Rzuca słuchawkę, pochyla się do Sikorskiego:

— Wyszli z podstawy dwadzieścia po dwunastej.

— Mó-wi się — — — — — słu-chać — skanduje Sikorski. — Mamy nową wiadomość — niech Baby nie zaczyna. Proszę czekać. Okey — wyłącza.

Sikorski odwraca się, aby usłyszeć coś więcej o sytuacji. Kopuć znikł. Siedzi na dnie sangaru, skulony z głową w dłoniach.

— — — — —

Kapitan Jandziłł czeka.

Rad jest, że kompanii udało się przebyć niepostrzeżenie najniebezpieczniejszy odcinek trasy, że Kopuć nie otworzył przedwcześnie ognia, że — jak dotychczas — wszystko, prócz łączności, idzie niezgorzej.

Mógłby już ruszać do natarcia, gdyby polska artyleria rozpoczęła swą pracę. Ale ona milczy zawzięcie, a radio Marka głuche i nie-me.

Uformowany do szturmu oddział leży na pustyni wśród rzadkich kęp suchej trawy. Ciszę bezkieszcycowej nocy przerywają z rzadka jakieś urywki rozmów, niesione wiatrem z zachodu i niezbyt głośne odpalenia rakietnic. Następujące po tych jakby rewolwerowych strzałach błyski odsłaniają przed wprawnym okiem Kapitana — o jakie 400 metrów w przodzie — rozrzucone długim szeregami kopiaście schrony „Wioski”, a w tyle, za oddziałem, w tejże mniej więcej odległości, mniejszą grupę wystających nad powierzchnię umocnień — to W 84.

Marek okryty jest mrokiem. Wprawdzie co chwila unoszą się z „Wioski” białe race, ale oddalała się zaraz w kierunku czeskich pozycji oświetlając trasę, którą oddział przebył już dawno. Kapitan doznaje wrażenia, że jest na polowaniu: rakiety — to naładowane światłem bażanty, które wznoszą się stromym lotem z zarośli, aby pionowo zapaść dalej od linii myśliwych.

Jandziłł unosi się lekko, opiera na łokciu, odwraca głowę i spogląda na swoich ludzi. W ciągu sekundy jawi mu się leżąca poza nim równa linia nieruchomych postaci: na prawym skrzydle Musiak ze swoim plutonem, w środku, cofnięty nieco w tył Różański, na lewej flance pluton karierów z Drelichem. Kapitan czuje, że ci chłopcy — to przedłużenie jego woli, to ramię, którym za chwilę uderzy. Wie, że może na nich liczyć. Nagle pochyla się do ucha leżącego obok Pawłowskiego.

— Cofnij się do Różańskiego, niech pada po linii: w czasie odwrotu kierować się na świetlne pociski, strzelane w górę z S. 29.

Pawłowski czołga się w tył — słowa Kapitana rozchodzą się w prawo i lewo.

Kapitan Jandziłł czeka.

Zadowolony, że doprowadził szczęśliwie oddział na tyły nieprzyjacielskich pozycji zmienia się zwolna w niepokój.

Nie może tu leżeć bez końca, wciśnięty pomiędzy włoskie ośrodki oporu. Jakiś mniej ostrożny ruch któregoś z żołnierzy, jakiś makaroniarz idący do latryny czy wracający od sąsiadów po nocnej pogawędce, jakaś niespodziewana rakietą z W 84 — i koniec. Każdy z tych przypadków może zmienić myśliwego Marka w osaczoną zewsząd i niemal bezbronną zwierzynę.

Myśli Kapitana biegną do placówki Romana i majora Kopucia, który dzierży klucz sytuacji — czterdzieści armat Karpackiego Pułku: „Strzelaj, Strzelaj! Jestem gotowy!”

Może skoncentrowana wola ludzka zastąpi radio, które zawiodło — może mózg ludzki odegra rolę anteny?

Dochodzi trzecia dziesiątka. Kapitan Jandziłł czeka.

Tych pięciu minut nie zapomni do końca życia.

— — — — —

Kopuć targuje się o każdą minutę.

— Skoro wyszli z dwudziestominutowym opóźnieniem — perswaduje major Sikorski — to i ogień musimy przesunąć o 20 minut. Teraz jest 2.50 — czas zaczynać.

Tego samego zdania był płk. Peszkowski, który przed chwilą dzwonił z Brygady. Dowódca Batalionu podziela właściwie rozumne argumenty Peszkowskiego i Sikorskiego, ale nie jest w stanie wydać rozkazu strzelania: jeszcze pięć, jeszcze dziesięć minut. Choć nie nie widzi nad przedpolu, choć stracił już nadzieję nawiązania łączności z Markiem i przeklął tysiąc razy druczany mózg radiostacji — nie ufa swej własnej głowie i rozsądnym radom kolegów.

Nie w głowie — gdzieś głębiej, gdzieś na dnie duszy coś zdaje się szeptać: „jeszcze nie, jeszcze chwilę!” Może to serce Dowódcy bije tak silnie przyspieszonym rytmem tej uporczywej negacji: nie, nie, nie.

Mijają długie jak wieczność minuty: już trzecia.

Kopuć ma twarz skupioną, zamknął oczy: myśli o druhu Jandziłle, o Musiaku, o Różańskim, o swoich chłopcach — to przecież jego Batalion. Trzeba im pomóc, niedobrze byłoby ich pozabijać.

Trzecia trzy — — — — — trzecia cztery: nie, nie, nie. Trzecia pięć:

— Szybko zaczęli — — — — — konstataje major Sikorski patrząc na stopper — dokładnie w 45 sekund po moim telefonie.

— Za pięć minut rozpoczynamy ogień — mówi spokojnie, jakby sennie, Dowódca Batalionu. — Chomentowski, daj pan whisky, robi się coraz zimniej.

— — — — —

Kopuć nie słyszał rzeczowej uwagi Sikorskiego o sprawnym otworzeniu ognia. Kopuć nie widzi czerwonych ognii, pokrywających równomiernie Pimpla, W 69, W 85, 86 i inne włoskie pozycje. Kopuć nie słucha towarzyszącego wybuchom piekielnego łoskotu. Kopuć nie czuje prochu dymu niesionego wiatrem. Kopuć zapomniiał, że w każdej chwili artyleria włoska może zasypać Romana lawiną granatów, że widoczny jak na dłoni Pimpla może plunąć weń seriami szybkostrzelnej broni.

Stoi wyprostowany, zastłonięty tylko do połowy ciała niskim murkiem sangaru i patrzy w jeden punkt.

Jak wytrawny dyrygent wielkiej symfonicznej orkiestry, którego ucho chwyta nieomylnie ton każdego z przelicznych instrumentów, a nerwy w przedziwny sposób wyłaczają całe kompleksy dźwięków, gdy oczekuje na wyjątkowo trudny pasaż, drząc czy nie zawiedzie ręka muzyka — tak major Kopuć czeka na spodziewany wkład Marka w rozpoczętą symfonię. Patrzy w kierunku „Wioski”.

— Do kogo strzelam? — przesywa mózg Majora uporczywe pytanie. Każda minuta oczekiwanego wkręca coraz głębiej bolesny świerd niepewności w duszę Dowódcy. Wie, co powinno nastąpić, jeśli oddział znajduje się na miejscu właściwym, jeśli teraz czołga się do natarcia. Zna to nieuchwytnie dla ogłuszonych hukami armat profanów pianissimo, które powinien wygrać Marek seriami swych tomiganów, wybuchami granatów i staccatem swych pistoletów.

A jeśli to nie nastąpi?

W blasku nowej rakiety — pierwszej od chwili rozpoczęcia ognia — plut. Chomentowski chwyta niezwykle wyraz twarzy Majora. W rejonie Romana zaczynają padać pociski ciężkich włoskich moździerzy. Odłamki packają w koło. Jakiś krzyk rozdarł zmażone wybuchami powietrze — to padł jeden z żołnierzy czeskiej ochrony. „Sanitariusz!” — woła któryś z kolegów. „Nie trzeba! Nie żyje!” — krzyczy ktoś inny.

Kopuć stoi wyprostowany. Chomentowski nie śmie zwrócić uwagi dowódcy na grożące mu niebezpieczeństwo, nie śmie otworzyć ust: patrzy. Patrzy i słucha, ale czy widzi i słyszy? Czy widzą i słyszą oczy i uszy Wołyńskiego, Sarnowskiego, Basiaka i innych?

Mijają minuty. Cały horyzont grzmi tysiącem wybuchów. W obłokach dymu migają krwawe ognie, Pimpla rozrzuca wokół belki swych schronów, deski, strzępy ciał ludzkich i worków, tryska fontannami piasku. Włoskie pociski ryją ziemię w pobliżu. Na czoło Majora występują żyły.

Nagle: jest, widzi:

Właściwy punkt czarnej przestrzeni pokrywa się drobnymi iskrami i cienkimi smugami świetlnych pocisków.

Nagle: jest, słyszy:

Stukają o bębenki uszu miserne, malutkie wybuchy, ktoś energicznie pociąga kijem po sztachetach: trrry — — — — — trrry — trrry. To znajome granaty, to tomigany.

— No, chwala Bogu — mówi Major, ocierając pot z czoła. — Nasi są w „Wiosce”. Spogląda na zegarek: — godzina trzecia dwadzieścia. Gdy skończą, przerzucimy ogień na „Wioskę”. Dziesięć minut czołgali się pod ogniem. Myślę, że nie mieli strat od odłamków.

Te dziesięć minut zostanie w Majorze: zapadły głęboko.

LISTA ZMARŁYCH PISARZY

Lista niniejsza, daleka nie tylko od pełni, ale także i od zupełnej ścisłości, oparta na tajnych raportach Polskiej Administracji Podziemnej, na doniesieniach prasowych i wiadomościach prywatnych — została porównana z dostępną częścią „Listy strat kultury polskiej, 1939–1945”, którą dr. B. Olszewicz zaczął ogłaszać w krakowskim „Tygodniku Powszechnym” (nr. 18–19, 21–24 włącznie).

Hanna Franciszka ARNSTAJNOWA — poetka, działaczka literacka. Zamordowana w Lublinie w 1942 r.

Krzysztof BACZYŃSKI — świetnie zapowiadający się poeta, znany pod pseudonimem wojennym Jan Bugaj. Zginął w Powstaniu Warszawskim.

Wojciech BĄK — poeta. Zginął w Powstaniu Warszawskim.

Henryk BALK — historyk literatury, poeta. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r.; według innej wersji: otrul się cjanalką, nie chcąc nałożyć opaski z gwiazdą Syjonu.

Jerzy BANDROWSKI — powieściopisarz. Zmarł w Radomiu w styczniu 1944 r.

Wilhelm BARBASZ — autor książki o Wyspiańskim, krytyk literacki. Zatorturowany w obozie złoczkowskim.

Wacław BERENT — powieściopisarz, członek Polskiej Akademii Literatury. Zmarł w Warszawie w 1940 r., w nieznanych okolicznościach.

Józef BIRKENMAJER — poeta, krytyk, tłumacz. Zginął w czasie oblężenia Warszawy, we wrześniu 1939 r.

Rafał BLÜTH — historyk literatury i krytyk literacki. Rozstrzelany przez Niemców jesienią 1939 r. w Warszawie.

Jakub BOJKO — pisarz ludowy. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Edward BOYE — tłumacz Don Quijota i innych utworów literatury hiszpańskiej. Zmarł w Warszawie w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Tadeusz BOY-ZELEŃSKI — krytyk literacki i teatralny, tłumacz literatury francuskiej, essayista, członek Polskiej Akademii Literatury. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Dachau w 1941 r.

Emil BREITER — krytyk. Rozstrzelany przez Niemców w 1943 r.

Wincenty KORAB-BRZOZOWSKI — poeta. Zmarł w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Anna CHOROWICZOWA — autorka pracy o „Konfederatach Barskich” Mickiewicza, recenzentka teatralna. Rozstrzelana przez Niemców w 1943 roku.

Ignacy CHRZANOWSKI — historyk literatury, krytyk. Zmarł w Oranienburgu, w styczniu 1940 roku.

Leon CHWISTEK — teoretyk sztuki, filozof. Zmarł w Moskwie.

Nikodem CIESZYŃSKI — publicysta katolicki. Zmarł w obozie koncentracyjnym w 1942 r.

Stanisław CYWIŃSKI — historyk literatury i krytyk literacki. Zmarł na wygnaniu w Rosji.

Józef CZECHOWICZ — poeta. Zginął odłamką bomby w Lublinie we wrześniu 1939 r.

Stanisław CZOSNOWSKI — literat. Zamordowany w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 roku.

Tytus CZYZEWSKI — poeta i malarz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Aleksander DAN — literat. Zamordowany w obozie pod Lwowem w 1943 r.

Jan DĄBROWSKI — krytyk. Zmarł w obozie koncentracyjnym w 1940 r.

Konstanty DOBRZYŃSKI — poeta. Zmarł w 1939 r. w nieznanych okolicznościach.

Tadeusz DOŁĘGA-MOSTOWICZ — powieściopisarz. Zginął w czasie działań wojennych we wrześniu 1939 r.

Julia DICKSTEIN-WIELEZYŃSKA — tłumaczka z literatury romańskich, badaczka literatury, poetka. Zmarła pod przybranym nazwiskiem w Warszawie, w 1943 r., w przytułku na Powiślu, po odcierpieniu więzienia i ucieczce z ghetta.

Karol DRESINER — historyk literatury, poeta i tłumacz. Zamordowany przez Niemców we Lwowie w 1943 r.

Aureli DROGOSZEWSKI — historyk literatury i krytyk. Zmarł w Warszawie w 1942 r. (?)

Roman DYBOWSKI — anglista. Zmarł w Krakowie w czerwcu 1945 r.

Stefan ESSMANOWSKI — hispanista, tłumacz, krytyk. Rozstrzelany przez Niemców w Warszawie jako zakładnik.

Wilhelm FALLEK — autor studiów o wpływie Biblii na literaturę polską, tłumacz. Zabity przez Niemców.

Alfred FEI — krytyk. Zabity w ghecie warszawskim.

Ignacy FIK — poeta i krytyk, autor pracy o języku Norwida. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r. w Oświęcimiu.

Józef FLACH — autor studiów o „Młodej Polsce”, recenzent teatralny. Zmarł w Krakowie, w maju 1944 roku.

Ludwik FRYDE — krytyk literacki. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r., w Nowogródce.

Tadeusz GAJCY — poeta, pisujący pod pseudonimem wojennym: Karol Topornicki. Zginął w Powstaniu Warszawskim 1944 r.

Aleksander GALUSZKA — poeta. Popelniał samobójstwo w 1939 r., pod wpływem wstrząsu, wywołanego bombardowaniem.

Wacław GĄSIOROWSKI — powieściopisarz. Zmarł pod Warszawą w 1939 czy 1940 r. w nieznanych okolicznościach.

Maria GERSON-DĄBROWSKA — pisarka dla dzieci. Zmarła w 1941 r. w nieznanych okolicznościach.

Zuzanna GINCZANKA — poetka. Zamordowana przez Niemców.

Maria GODLEWSKA — tłumaczka z literatury angielskiej. Zmarła w Krakowie w czerwcu 1945 roku.

Stefan GODLEWSKI — poeta, nowelista i krytyk. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, w 1941 czy 1943 r.

Bolesław GORCZYŃSKI — dramaturg. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Halina GÓRSKA — powieściopisarka. Rozstrzelana przez Niemców w 1942 r.

Stefan GÓRSKI — essayista. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Mauthausen w 1940 r.

Emilia GROCHOLSKA — publicystka, kry-

tyczka, redaktorka „Kobiety Współczesnej”. Zmarła w Oświęcimiu na początku 1943 r.

Benedykt HERTZ — bajkopisarz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Jan Adolf HERTZ — dramaturg. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r.

Ferdynand HOESICK — autor książek biograficznych. Zmarł w Warszawie w 1941 r.

Tadeusz HOLLENDER — poeta. Zmarł w Warszawie na Pawiaku w 1943 r.

David HOPENSZTAND — krytyk. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r., w ghecie warszawskim.

Jerzy HULEWICZ — powieściopisarz, poeta, krytyk, wydawca „Zdroju”. Zmarł w 1941 r., na wieść o śmierci brata.

Witold HULEWICZ — poeta, autor powieści o Beethovenie, tłumacz Rilkego i Kleista. Rozstrzelany przez Niemców w 1941 r., za pracę konspiracyjną.

Karol HUSARSKI — krytyk. Zmarł w 1942 r. w nieznanych okolicznościach.

Karol IRZYKOWSKI — krytyk literacki, członek Polskiej Akademii Literatury. Zmarł w 1944-45 r. (?) w szpitalu pod Warszawą, wskutek ran, odniesionych w czasie Powstania Warszawskiego.

Włodzimierz JAMPOLSKI — publicysta, krytyk, autor książki o Żeromskim. Zginął w 1943 r. we Lwowie.

Czesław JANKOWSKI — essayista. Zmarł w 1943 roku w nieznanych okolicznościach.

Juliusz KADEN-BANDROWSKI — powieściopisarz, członek Polskiej Akad. Literatury. Zmarł w 1944 r. w czasie Powstania Warszawskiego.

Ludwik KAMYKOWSKI — historyk literatury. Zmarł w Krakowie w 1944 r., po chorobie nabitej w obozie Sachsenhausen.

Światopełk KARPINSKI — poeta. Zmarł w 1940 r. w Wilnie.

Antoni KASPROWICZ — poeta. Rozstrzelany przez Niemców w 1939 r.

Stefan KIEDRZYŃSKI — komedio- i powieści-

ciopisarz. Zmarł w Warszawie w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Zygmunt KISIELEWSKI — powieściopisarz i nowelista. Zmarł w 1942 r. w Warszawie w nieznanych okolicznościach.

Kazimierz KOLBUSZEWSKI — historyk literatury. Zmarł w Majdanku w 1943 r.

Stefan KOLACZKOWSKI — historyk literatury i krytyk literacki. Zmarł w Krakowie w 1940 r., po powrocie z obozu koncentracyjnego w Oranienburgu.

Karol Ludwik KONINSKI — krytyk, essayista, autor antologii „Pisarzy Ludowych”. Zmarł w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Janusz KORCZAK (Henryk Goldschmidt) — pisarz dla dzieci, pedagog. Zamordowany przez Niemców w 1942 r. w związku z likwidacją ghetta w Warszawie.

Józef KRETZ-MIRSKI — poeta, autor studiów o Wyspiańskim, krytyk filmowy, pedagog. Zginął w 1943 r.

Felcja KRUSZEWSKA — poetka. Zmarła w Radomiu wskutek wstrząsu wywołanego łapanką.

Julian KRZEWIŃSKI — powieścio- i komedio-pisarz. Zmarł w 1941 r. w nieznanych okolicznościach.

Antoni KUCHARCZYK (Jantek z Bugaju) — poeta ludowy.

Kazimierz LECZYCKI — powieściopisarz i autor dramatyczny. Zmarł na wygnaniu w Rosji.

Jan LORENTOWICZ — krytyk literacki i teatralny, członek Polskiej Akademii Literatury. Zmarł w Warszawie w r. 1939.

Henryka ŁAZOWERTOWNA — poetka. Rozstrzelana przez Niemców w r. 1942.

Zygmunt LEMPICKI — germanista, teoretyk literatury. Zmarł w r. 1943 w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu.

Bolesław MICIŃSKI — essayista. Zmarł na gruźlicę we Francji w r. 1943, w wyniku ciężkich przeżyć pod okupacją rosyjską.

Stanisław MIŁASZEWSKI — poeta i dramato-

TYMON TERLECKI

IN MEMORIAM*)

Trudno jest nie skłamać wobec śmierci.

Wszystko w nas zjawia się przeciw niej, usiłuje jej zaprzeczyć, zapoznać jej obecność w nas i poza nami. Uparcie, heroicznie uchyla się od niej świadomość, pamięć zabiegliwie zaciiera jej tropy. Niepojęcie złożony aparat, mikrokosmos ludzki, ma czujne membrany, czuлки nadwrażliwe, którymi doznaje życia we wszystkich postaciach, którymi sonduje niezgruntowaną głębię drugiego człowieka, dotyka w panicznym strachu, w świętym uniesieniu nawet Boga — brakuje mu tylko organu, którym by doznawał śmierci. Dzieje się tak na przekór temu, iż w każdej godzinie starzeją się u nas tkanki i dojrzewają do uwiadu. Dzieje się tak na przekór widowisku przyrody, która każde życie płaci zgonem i nie uważa tego za cenę zbyt wygórowaną.

Trudno jest nie skłamać wobec śmierci cudzej.

Czai się w nas przeciw niej wstydlive, niegodne pocieszenie, że oto jeszcze raz wymknęliśmy się z kręgu, że jeszcze raz ktoś inny zapłacił trybut straszemu prawu, że jeszcze nie na nas padł wzrok minotaurowy. Chowa się w nas piekielna ale jakże znikoma pycha, śmieszne złudzenie, że to od światła oczu naszych nie zagasa świat, że to przez wysiłek naszej świadomości żyje on i trwa. Trwa póki nas.

Ale są śmierci, od których uszczupla się obręb naszego istnienia. Są śmierci, wobec których beznadą jest zmowa krwi i pamięci, przymierze biologii i ducha. Są śmierci, które umniejszają obszar świata.

Odczuwam to, co się stało w Polsce na rozstępie ostatnich pięciu lat jako coś, przeciw czemu chybialiśmy egzorcyzmy, zaklinania, zamawiania naszej samolubnej miłości życia. To, co się w Polsce stało, liczy się właśnie do tych przypadków, którym nie jest ona zdolna sprostać, do tych przypadków, kiedy z śmiercią cudzą własną duszą przez pół umiera, sierociej, wdowieje, traci smak istnienia i nuży się światłem własnych żręć i tym po co są aby świeciły światu, aby mu przyswajaczały.

W obliczu klęski polskiej ustaje stoicki empiryzm Francisca Bacona: „It is as natural to die, as to be born” jest tak samo naturalne umrzeć, jak się urodzić. Wydaje się odpychającą minoderią dekadencji estetyzm Teophila Gautier: „Le couchant n'a-t-il pas sa beauté comme le matin?” nie jest że zachód na swój sposób równie piękny, jak rano?

Nie ma nic naturalnego, a jest wszystko przeciw naturze w straszliwym pogromie, który przetoczył się przez Polskę, jej kulturę i jej pisarstwo. Nie ma nic, nic pięknego, nie ma żdźbła estetycznej ani żadnej innej ulgi w

śmierci naglej, gromadnej, bezsensownej kilku naraz pokoleń pisarzy, artystów, twórców kultury.

Nie jest to w niczym podobne do zajęć zwykłego czasu. Ubytek naturalny, kolejny, powolny — często wyprzedzony przez wyczerpanie twórcze, przez całkowite dopięnięcie — odwołuje się bez trudu do rezerw naszego egoizmu. Ale ten pomór, epidemia, śmierć epidemiczna z woli i ręki ludzkiej — jest czymś, na co nie starczy egoizm, na co niemal nie dostaje przywiązania do życia. Chwilami wydaje się, że na tej pustyni, na cmentarzysku rozpostartym wszcz i wzdłuż ziemi polskiej, tylko o nas, jeszcze żywych, o nas, cudem ocalałych, jest za dużo. Są chwile, kiedy nachyla się nad nami pokusa, aby zanurzyć się z głową, z sercem, z duszą w tym *taedium vitae*, aby odmówić życia na pojowisku.

Bo żyje się nie tylko przez siebie, ale przez innych, poprzez innych. Na tym polega piękno, dziwność i religijność zjawiska kultury. Nie tylko włókna mięśni, arterie, naczynia limfatyczne, ale i ludzie nam współcześni stanowią nasze więzy z życiem. Miłosna wojna, która prowadzi z matką, ojcem, rodzeństwem, pierwszymi przyjaciółmi o kształt świata i nasze w nim miejsce przenosi się później i rozgrywa ostatecznie na planie kultury. Współświadomie czasu, współautorzy dramatu, wszyscy oni nam, my im pomagamy dojść do pełnej samowiedzy, my im, oni nam pomagają utrzymać nasycone świadomości, rozszerzyć jej granice, osiągnąć jej pełnię.

I to jest prawda, że nagle tylu ich, tylu z tych, którzy byli częścią waszego, naszego, mego istnienia przestało istnieć. Umarli w jednym czasie, tacy, których kochałem i którzy mnie od siebie odstręczali. Od których się uczyłem i którym przeciwstawiałem się w młodzieńczej popędlowości i prawie już męskim rozpoznaniu rzeczy. Bliscy i dalecy. Najdrożsi przyjaciele i nieprzejednani wrogowie. Wierni towarzysze i lojalni przeciwnicy.

Odczuwam to niekiedy jako niedoskonałą, niepełną śmierć własną, jako coś, co kalectwo moje osobiste istnienie. Jeśli by mnie, nam wszystkim, wolno było rozrzewniać się nad sobą, trzeba by nam opłakiwać własne sieroctwo, niebываłe ogłołenie kulturalne, rzucenie na pustynię samotności.

Ale w okrutnym świecie dzisiejszym, w pokoju najciemniejszym, najbardziej niespokojnym jaki był i pełnym lęku po brzegi — nie ma miejsca na taką tkliwość dla siebie. I musi być zwyciężony smutek zaiste przeżalili, dający dopiero pełne usprawiedliwienie słowom Mallarmego: „La chair est triste, hélas, et j'ai lu tous les livres”, ciało jest smutne, bo wszyscy moi umarli.

Wychodzę na przeciw tej śmiertelnej melancholii wspomnieniem bardzo dalekim, bardzo osobistym, aż wstydlivym.

(Pamiętam, że gdy umarła moja matka, byłem od niej daleko. Stało się to jesienią. Przez tę całą jesień, przez zimę, żyłem tylko połową duszy. Ale któregoś dnia doznałem sensacji na wskroś przenikającej i nigdy nie-

(Dokończenie na str. 8-ej)

pisarz oraz **Wanda MIŁASZEWSKA** — powieściopisarka. Jednocześnie zamordowani przez Ukraińców w czasie Powstania Warszawskiego w 1944 roku.

Stefan NAPIERSKI (Marek Elger) — poeta, krytyk, tłumacz poetów francuskich, angielskich i niemieckich, wydawca i redaktor pisma „Ate-neum”. Rozstrzelany przez Niemców w 1940 r.

Wanda NIEDZIAŁKOWSKA-DOBACZEWSKA — nowelista, krytyczka. Zmarła w obozie koncentracyjnym w 1940 r.

Tadeusz Michał NITTMAN — pisarz dla dzieci. Zmarł w 1942 r. w nieznanych okolicznościach.

Witold NOSKOWSKI — krytyk literacki i teatralny, essayista. Rozstrzelany przez Niemców w 1939 r.

Adolf NOWACZYŃSKI — poeta, satyryk, dramaturg, publicysta. Zmarł w 1944 r.

Ostap ORTWIN (Oskar Katzenellenbogen) — krytyk i działacz literacki. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r. w związku z likwidacją ghetta we Lwowie.

Ferdynand OSSENDOWSKI — powieściopisarz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Jerzy PACZKOWSKI — poeta. Zmarł w Niemczech w 1945 r.

Stanisław PIASECKI — publicysta, redaktor „Prosto z Mostu”. Rozstrzelany przez Niemców w nocy z dnia 12-13 czerwca 1941 r.

Jan PIETRZYCKI — poeta i tłumacz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Stanisław PIOLUN-NOYSZEWSKI — krytyk, autor pierwszej biografii Żeromskiego. Zmarł w obozie koncentracyjnym w 1941 r.

Leon PIWIŃSKI — krytyk literacki, wydawca tekstów. Zmarł w 1942 r. w nieznanych okolicznościach.

Lech PIWOWAR — poeta. Zginął w Rosji.

Leon POMIROWSKI — krytyk, kierownik literacki teatrów warszawskich. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Majdanku w 1943 r., aresztowany za przynależność do organizacji konspiracyjnej.

Antoni POTOCKI — krytyk i essayista. Zmarł w Warszawie w 1939 r. w nieznanych okolicznościach.

Zenon PRZESMYCKI-MIRIAM — poeta, tłumacz, redaktor „Chimery” i wydawca Norwida. Członek Polskiej Akademii Literatury. Zmarł między 15 a 18 października 1944 r.

Wincenty RAPACKI, syn — komediopisarz. Zmarł w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Marian REITER — krytyk i tłumacz. Zmarł w nieznanych okolicznościach w 1943 r.

Maria RODZIEWICZOWNA — powieściopisarka. Zmarła w 1944 r.

Stanisław ROGOWSKI — młody poeta. Zginął w 1939 r. w Warszawie.

Stanisław ROGOZ — krytyk, publicysta. Zmarł na wygnaniu w Rosji.

Stanisław ROSSOWSKI — poeta. Zmarł w 1940 r. w nieznanych okolicznościach.

Józef RUFFER — poeta. Zmarł w Warszawie w 1940 r. w nieznanych okolicznościach.

Bruno SCHULZ — powieściopisarz. Zamordowany przez Niemców w Malopolsce w 1941 r.

Stefania SEMPOŁOWSKA — publicystka, działaczka. Umarła w nieznanych okolicznościach.

Franciszek SIEDLECKI — autor dwutomowej książki o metryce polskiej. Umarł na gruźlicę.

Wacław SIEROSZEWSKI — powieściopisarz, prezes Polskiej Akademii Literatury. Zmarł w Warszawie.

Wojciech SKUZA — powieściopisarz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Antonina SOKOLICZ — tłumaczka. Zmarła w obozie koncentracyjnym w 1942 r.

Augustyn SUSKI — poeta. Zmarł w obozie koncentracyjnym w 1942 r.

Jerzy SZANIAWSKI — dramaturg, członek Polskiej Akademii Literatury. Zmarł w niemieckim obozie koncentracyjnym.

Lucjan SZENWALD — poeta, tłumacz.

Maciej SZUKIEWICZ — poeta i dramaturg. Zmarł w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Tadeusz SZULC — historyk literatury i essayista. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Mauthausen w 1940 r.

Edward SZYMANSKI — poeta. Zginął w kampanii wrześniowej.

Kazimierz PRZERWA-TETMAJER — poeta, dramaturg i powieściopisarz. Zmarł w 1940 r.

Alfred TOM — tłumacz, wydawca pośmiertnych pism Langego i Leśmiana. Zginął w czasie Powstania Warszawskiego.

Mieczysław TRETER — historyk sztuki, essayista. Zmarł w Warszawie w 1943 r. (?)

Andrzej TRETIAK — anglista, tłumacz z literatury angielskiej. Rozstrzelany przez Niemców w 1944 r. w Warszawie.

Konstanty TROCZYŃSKI — krytyk i teoretyk krytyki. Rozstrzelany przez Niemców w 1942 r. w Oświęcimiu.

Tadeusz ULANOWSKI — powieściopisarz. Zmarł w 1942 r. w nieznanych okolicznościach.

Tadeusz WĘGLEWSKI — tłumacz poetów starożytnych. Zmarł w 1942 r. w nieznanych okolicznościach.

Kamil WEINTRAUB — Zmarł w 1943 r. w nieznanych okolicznościach.

Bruno WINAWER — dramaturg. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

Stanisław Ignacy WITKIEWICZ — powieściopisarz, dramaturg i teoretyk sztuki. Popelniał samobójstwo w 1939 r.

Stanisław WOŹNICKI — krytyk. Zmarł w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu w 1940 r.

Stanisław WYRZYKOWSKI — powieściopisarz. Zmarł w nieznanych okolicznościach.

